

JÓZEF LASOŃ.

Legiony.

Fragmenty.

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

Matematyk...

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć!
— Hej! Obywatelu, czemu nie strzelacie?
— Raz, dwa i t. d.
— Salwa! — zagrział głos komendanta — cel! pal!

— Raz, dwa — żołnierz błyskawicznie przeskoczył kilkanaście kroków, upadł na ziemię, przywarł do niej i znów rozpoczął monotonne liczenie.

— Do pioruna! Zwaryował! — krzyknął komendant.

— Raz, dwa.
— Obywatelu! Strzelać!
— Raz, dwa.

Zuścierpliwiło to komendanta, podsunął się ku żołnierzowi, który, za pagórkiem ukryty, obserwował nieprzyjaciela, licząc w dalszym ciągu.

— Czemu nie strzelacie?

— Obywatelu! Ten drab vis a vis mnie wziął się na mnie i koniecznie chce mnie sprzątnąć. Chcę mu się odwzajemnić, dlatego uknułem plan, aby mu dobrze się zrewanżować!

— Jakiż to?

— Otóż, Moskal ustawicznie celuje we mnie. Muszę liczyć, aż on wystrzeli pięć naboju, wtedy zajęty jest świeżym ładowaniem naboju, ja korzystam z tej chwili i podsuwam się, o ile się da, wyszukując sobie dobrą zasłonę. Nie strzelam, gdyż szelma dobrą zasłonę ma i nic bym mu nie zrobił. Podejdę pod niego i wtedy, kiedy będzie ładował, sprzątnę go, albo zabiorę do niewoli.

— Raz, dwa i t. d.

Komendant pozostał, obserwując ciekawie żołnierza. Coraz bliżej podsuwali się nasi żołnierze pod okopy nieprzyjacielskie.

Nagle ze strony, skąd podsuwał się ów matematyk, wydarł się okrzyk:

— Ne strelat! Poddajemsi!

Głos osaczonego podzielał i na innych żołnierzy moskiewskich, rzucili karabiny, poddali się.

Matematyk, wyprowadzając jeńców z rowów strzeleckich, liczył:

— Raz, dwa, trzy, ale już nie wracał do pierwszej liczby, tylko uśmiechnięty liczył w dalszym ciągu.

Waryat.

Kiedy tylko większa grupa rekrutów pojawiła się przed biurem poborowym Legionów w Radomsku, zaraz przybiegał mały, nikły chłopak, wdawał się z nimi w rozmowę, opowiadał niebywałe rzeczy. Po kilku minutach rozmowy poznawano, że to waryat.

Niebieskie, mgłą zaszła oczy ustawicznie biegały na wszystkie strony, pociągła twarz przy rozmowie wydłużała się jeszcze więcej; bełkotanie jakieś niezrozumiałe wychodziło z ust biednego chłopca.

Często mieszał się w szeregi, przychodził do sali rekrutów, gdzie lekarz badał przybyłych.

Waryat.

Śmiech ludzki towarzyszył mu zewsząd, czasami obelżywe słowo padło w jego stronę, on błędnymi oczami spozierając, mówił:

— Wiecie, jak Moskali pobili? W wojnie byłem! Króciutka, a smutna jego historia.

Przed kilkoma tygodniami zgłosił się jako ochotnik, lekarz nie uznał go jednak z powodu młodego wieku, następnie z powodu wątłych sił i złego stanu zdrowia.

Od tego czasu często przychodził do biura, prosił o przyjęcie, jednakże bezskutecznie.

Raz, przychodząc, zaczął opowiadać o wielkiej bitwie, jaką stoczył z Moskalami, poczem zaczął się śmiać przeraźliwie.

— Żołnierz jestem... he... he... generał... pobili Moskali!

Naprzypinał sobie papierowych gwiazdek i orderów, z dumą chodząc, pokazywał, śmiejąc się przeraźliwie i płacząc czasami.

I od tej chwili został waryatem.

Obelżywe słowo ludzkie pada na niego, śmiech

szyderczy zewsząd za nim kroczy, ludzie bawią się nim, śmieją się z niego...

Waryat...

A przecież niósł on na ołtarz Ojczyzny, co miał najdroższego... życie... że mały i młody, trudno.

Biedny waryat...

Kozaki...

Patrol niemiecka zbliżała się w stronę lasów skrzydłowskich, obserwując bacznie okolicę. Byli to przeważnie części tak zwani „wasserpolicy“, umiający coś nie coś po polsku.

Podoficer, prowadzący patrol, szedł przodem, ostrożnie zbliżając się do lasu, usiłował przejrzeć dokładnie okolicę, aby zdać dobry raport.

Ale ludzie powoli przyzwyczaili się do wojny, a konieczność zdobycia żywności wypędza istoty ludzkie nieraz na teren walki, nic dziwnego zresztą, bo głód zmusza do wszystkiego.

Stara, pocziwa babuńka wyszła do lasu na grzyby, aby zbierać trochę. Ze tam od czasu do czasu dał się słyszeć wystrzał karabinowy lub armatni, nie ją to nie obchodziło, najspokojniej zabrała się do tej czynności, zresztą była trochę głucha, nie wiele sobie robiła zatem z detonacji strzałów.

Przy tej czynności zastała ją nadchodząca patrol, przystanęła na chwilę, podoficer łamaną polszczyzną zaczął się wypytwać baby.

Będąc głuchą, a następnie nie mogąc zrozumieć łamanego języka, nie wiedziała, o co się żołnierzom rozchodzi. Tłumaczyła jej i tłumaczyła, ona dalej pokazywała im, co tu robi.

Nareszcie jeden z nich, nachylając się do ucha pocziwej babuńki, krzyknął głośno:

— Matka, są tu kozaki?

— He! Kozaki?!

— Tak! Są?

— A są, panie!

— A daleko? — jeszcze głośniejsze krzyczy jej nad uchem.

— Oj ta, panie, niedaleko, a to w tym lesie!

— A dużo ich jest — pyta już przyciszonym głosem ów żołnierz.

— O, panie, widzita, jak ten las długi i szeroki, tak ich pełno jest.

Sądziła, że pytają się o odmianę grzybów zwanych „kozakami“, których pełno było w skrzydłowskich lasach.



MARYA SEGENY.

ZIEMIA.

Na rdzawe wrzosowiska mgły spadają ciężkie, jesienny podmuch w uścisk je bierze zimny, w smugi długie, szare rozpyła, po zamierających rozpina trawach...

Włoką się nisko opary białe, do fantastycznych cieniów podobne, niby kadzideł smugi wonne, w powietrzu cichem włoką się ciche...

Liliowe wrzosi tulą zazdrośnie, na szkarłat kwiatów spadają lekkie, szczyty drzew zdobią koronek gaza, z czerniałych ostów motają liście...

Ponad polami rozpięta cisza, szmery najłżejsze pochłania chciwie, drgają powietrza fale przejrzyste, ponad lasami w ciszę wsłuchane...

Dyszy ciężko ziemia, rozrodczą wyczerpana siłą, do snu dłuższego kładłaby się chętnie, zapomnieć przeżyte trudy by chciała.

Ale nie pora jeszcze, nie czas.

Krwawią się w słońcu złote, jesiennie plony, o zbiór szybki głośno proszą, tryumfalnym bogactwem pyszną się dumne.

Jeszcze nie pora na odpoczynek ziemi.

Z kłosów nabrzmiałych, złote, żyzne ziarno posypie się ciężką falą na nowy jej trud, na nowy wielki plon...

Posypią się twarde ziarna w skrwawioną, uzno-

joną ziemię, obejmą siecią pędów młodych, gorących, ustroją jeszcze w jasną, młodocianą szatę...

A w mocnym uścisku tych pędów młodych ziemia nie pomni na trud i znój, nadziei nowym zapłonie blaskiem, zadyszki nowego życia tętnem...

Na chwilę przycichnie ciężarem trudów znużona, trwożliwie pod śnieżnym chronić się całunem, by znów powstać potężna i śmiała, wiecznym pragnieniem zbudzona...

I znów zorze rozgorzeją światłem, i pieśń odwieczna po polach zadzwoni, w świeżą purpurę ustroją się kwiaty, wiosenny podmuch szkarłat rozpali...

Jesienny wieczór cicho nad ziemią zapada.

Od świeżo zoranego ładu zapach idzie ciepły i mocny.

W blaskach gasnącego już słońca ziemia czarna ognistą się luną zapala. Wokoło, ciężka, nieprzebrana cisza, tylko od czasu do czasu przełamie fale drżące powietrza pomruk długi i głuchy. Biegnie z daleka, z za lasu, co niemy, wchłonięty w siebie stoi, i czarną, równą linią odcina się śmiało od jasnej plamy błędnych zór.

Czasem żwawszy podmuch jesienny przyniesie zdala dziwne jakieś odgłosy... suchy chrzęst zbroi, świst, nawoływania, echo rozpaczliwego jęku...

Po świeżo zoranym łanie idzie dwoje ludzi: starzec i dziecko. Przez ramię starca przewieszona, wypełniona, ciężka płachta. Włos biały, nieokryty, ośniana wysokie, brudami znaczone czoło.

Idzie, szerokim równym krokiem, surowym wzrokiem patrzy przed siebie, gęste, siwe brwi ściga w zamyśleniu.

Co raz, to sięgnie ręką do szarej płachty i grube, złote ziarno półkolem się zatoczy, z suchym chrzęstem na czarną posypie się ziemię...

A ziemia wilgotna, suche ziarno chłonie, oddechem ciepłym otoczy, od zimnych wicherów uchroni. Równym, miarowym krokiem idzie starzec naprzód, nie zboczy z drogi, nie przystanie. W promieniach ostatnich słońca twarz jego zorana, grubą siecią brzd znaczone, jak z brązu ciemnego wykuta. Czarne, niezmordowane ręce, złote ziarna sypią bez przerwy.

Czasem jakieś słowo krótkie rzuci do chłopca, co za nim biegnie. I wtedy chłopiec jak sarna podskoczy ku brudzie na skraju, w pulchnej, miękkiej ziemi bosemi nogami tonąc i wnet powróci z workiem na plecach przewieszonym, pochylony i żwawy — ziarna twardego do płachty nasypie i znów pędem do brudzy podskoczy. Silniejszy podmuch przypadł od lasu i przyniósł ze sobą donośniejsze echo walki toczącej się w dali. Rozbiegło się po polu gniewnym pomrukiem i długą chwilę drgało w powietrzu.

Surowiej zsunęły się gęste brwi starca, a ręka ziarno sypiąca złote zadrgała lekko, krzywe nakreślając półkole. I zdało się, że ziemia odczuła ten odgłos biegnący, bo przeszedł po niej szmer głuchy, niby jęk żałosny i cichy.

Podsunął się chłopiec do starca, jakgdyby przy nim szukając opieki i otuchy.

Duże, niebieskie źrenice, w których widniał niepokój jakiś, podniósł na twarz jego bladą i spytał:

— Gospodarzu, a nie boicie się?

— Czego?

— A dyć nasi tam się biją, nie słyszycie?

— Biją, to i wybiją — brzmiała lakoniczna odpowiedź.

I równym, nieprzerwanym krokiem mierzył czarną rolę, oczów poważnych nie odrywając od niej na chwilę.

Słońce już powoli za las zachodzić zaczęło, rzucając coraz dłuższe, ukośne promienie. Wyszy cienie z lasu i pokładły się rozwlekłym szeregiem na pola, białym oparem już lekko pokryte.

Odgłos walki dochodził coraz wyraźniejszy.

Już bez przerwy prawie grały armaty i karabiny, żywymi, donośnymi salwami. Głucho stękała ziemia pod twardymi kopytami koni i naporem ciężarów. Jakaś groźba straszna i ciężka szła szeroką falą od lasu i kołysała się uporczywie nad łanem.

Niebieskie, płochliwe oczy chłopca coraz częściej i niespokojniej biegły ku surowej twarzy starca.

Już świst przeciągły przedarł powietrze i skończył z suchym trzaskiem, rozsypując czarne grudki ziemi wokół.

Podskoczył chłopiec do starca i niecierpliwie skubał go za rękaw siermięgi.

— Gospodarzu, słońko już za las uciekło. Możebyście już z pola zeszli, do wieczora niedaleko.

— Nie spieszy mi się.

— Cosik od lasu złego idzie, straszno mi czegoś.

— Strach odpędź od siebie. Łanu dosiść muszę.

— Kulki świstają, jeszcze która uśmierci.